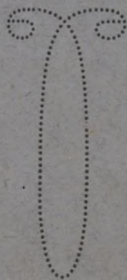


Pisarze Polscy

na

Inwalidów Wojennych



Kolekcja
Emila Kornasia

Przedruk wzbroniony

Drukiem „Drukarni Gdańskiej” T. A. w Gdańsku, Stadtgebiet nr. 12



CM LXX

322515

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 94/2013 CM

Szlakiem parahamsów.

Parahamsą zwaą hindusi pielgrzyma, o którym tak pisze upaniszada:

Porzuca on, parahamsa, żonę, przyjaciela, dzieci, krewnych, włosy, sznur ofiarniczy, studjum Wed i wszelkie swe czyny.

Zrzeka się świata, bierze nabiodrze, kij i derkę, dbając tyle o życie własne, aby módz służyć innym!!

Według wierzeń hindusów, jak to wyjaśnia laureat Nobla, Gjelerup, parahamsa, to gęś wędrowna, będąca prastarym symbolem duszy wędrującej po nieznanych szlakach.

Ów szlak parahamsów jest trudny do odnalezienia i niewielu nim chadza. Jeżeli ktoś atoli nań wstąpił, ten trwa w czystości swej duszy, staje się człowiekiem Wed i wielkim mężem.

W górnych szlakach zaparcia się siebie staje się on sanjassinem (mnichem), żyjącym odtąd z dnia na dzień, nie dla siebie, lecz dla innych. Niema już domu, nie obchodzi go złoto, ani nic podobnego.

Jedyną im było nagrodą, iż wyrzekając się siebie i praw swych dla innych, cieszyli się czcią bezwzględną wśród hindusów.

Czyż to przypomnienie z prastarej upaniszandy parahamsów nie nasuwa w istotnej swej treści myśli o losie inwalidów wojennych?

Tamci oddalali się od świata, porzucając wszystko, by szukać doskonałego spokoju dla ducha. Dbali o tyle o życie własne, by módz służyć innym.

Warunki i motywy różne, lecz analogji dużo i treść w duszach jednaka. Bo oto, gdy kłębią się czarne chmury nad Ojczyzną, której śmiertelny wróg zagraża ze wschodu czy zachodu, budzi się w piersiach krzyk przemożny, iż trzeba porzucić dom,

żonę, przyjaciela, i dzieci i iść szlakiem wyżynnym, o nic nie dbając, nawet i życie własne tyle mając w cenie, by móżdż służyć obroną innym.

Idą więc zastępy, i jak to u nas jeszcze w świeżych dla pamięci ludzkiej walkach było, jeno z nakazu własnego. Śli czysci w sercach, przepalonych ogniem miłości dla ziemi własnej, trwali na swym wyżynnym szlaku w czystości, nie dbając o dom swój, ni złoto.

I z tem czystem świętem hasłem ginął żołnierz bezimienny i wracał inwalida bezimienny.

Z dalekich pól po trudach, znoju i głodzie, wracał czysty w swej duszy ofiarnej, jak wyszedł czysty.

A kto nań spojrzysz — o nic go pytać nie potrzebuje. Mogą spoglądać na siebie człowiek ze wsi czy miasta w kraju już wolnym od wroga i ten inwalida bezimienny, za którym kroczy powoli legion innych. Oczy ich mogą mówić:

Oto witam was z radością i dumą, rodacy wolni w wolnej ojczyźnie. Ja, bezimienny z miliona sprawilem, że wolni jesteście i dobytek wasz ocalony.

Zaś obywatel wolny sam sobie odpowiada:

„Oto ten oddał rękę za wolność moją i ocalenie dobytku mego, a ten wraca o kulach. Ten młody, a kalectwem pochylony do końca dni żywota...”

Może tam nieraz łza spadnie z niejednych oczu a w piersi zadrga coś żywo gorąco...

Ale tak to szybko mija i pokrywa się troską dni powszednich.

Gdy parahamsa sanijassin szedł między ludzi, wynoszono mu żywność do miski wędrowca, a głowy się z czcią chyliły.

Czy u nas w wolnej Polsce wielu myśli o tem, by nie były puste miski inwalidów? By wyciągnąć dłoń bratnią ku tym, co na wyżynnych szlakach ofiary życia swe dawali, siły i zdrowie, by chronić innych? Wy wszyscy wolni w wolnej Polsce jesteście ich dłużnikami. Bez wezwań winniście im daninę obowiązku, bo co macie, im zawdzięczacie: bezimiennemu żołnierzowi, co poległ i bezimiennemu inwalidzie, co wrócił kaleką czy chorym do swoich.

Byłoby wstydem i hańbą, gdyby kultura serc niższa była w Polsce, niż wśród hindusów.

Jan Czempński.

„Naród, który nie dba o swych inwalidów wojennych, niewart jest zwycięstw. Zwycięża na wiarę owych przyszłych kalek — bohaterów niejako na kredyt. Gdy ich zawodzi, gorszy jest od podstępного bankruta. Opieka nad inwalidami nie jest sprawą litości, tylko rozumu państwowego. Dawni wielcy wodzowie pamiętali o tem zawsze; dzisiejsi mężowie stanu zapominają nazbyt często.“

Piotr Chojnowski.

W wojnach próbuje Bóg moc i chwałę narodów; poległych i zmarłych z ran opromienia światłem wiecznego odpoczynku, a przez żywych inwalidów próbuje ofiarność i poświęcenie narodów. Naród, który swych inwalidów otacza ramieniem pomocy i byt ich opromienia wdzięcznością, zdaje wielką próbę przed Bogiem i zyskuje prawo istnienia dla siebie i swych pokoleń.

Warszawa.

Stanisław Hłasko.

Gdyby matka zapomniała o synu, który dał się porąbać za nią, nazwalibyśmy ją potworem. Miałaby nasza Ojczyzna zapomnieć o swych obrońcach? Należy im się chwała, troskliwa opieka i pamięć dożgonna.

Łatwo jest na widok żołnierza gorejącego w ogniu wołać: „bohater! bohater!“, ale łatwiej niż słowa na wietrze ginie pamięć o bohaterze, który z bojów wróci nie jako promienny bóg zwycięstwa lecz jako kaleka i nędzarz bezsilny.

Pamiętajmy, aby nigdy w sercu inwalidy nie powstało gorzkie uczucie zawodu i rozpacz.

Kochajmy Ojczyznę czynnie. Zwiotczałe, okaleczone, niemocne ciała inwalidów to Jej części najdroższe. Kochajmy Ją, pamiętając o inwalidach. Miłość bierna jest obłudą.

Zygmunt Kisielewski.

Słówka ulotne.

Spółeczeństwo, któreby pozwoliło wlec niedolę życiową i niedostatek swoim inwalidom cielesnym, byłoby inwalidą moralnym.

*

*

*

O wspieraniu Inwalidów.

Choć wspominają o tem już Dzieje Apostolskie,
Chociaż, kto biednych wspiera, winien to zdanie znać,
Niech słowa te posłyszają ponownie serca polskie:
Iż milej tysiąc razy jest **dać**, aniżeli **brać**!

Wł. Buchner.
red. „*Muchy*“

Myśli o Inwalidach.

W każdym czującym sercu polskim brzmi podświadomie określenie Inwalidów:

Inwalidzi — to bohaterscy synowie Ojczyzny, wobec których każdy z nas w Polsce jest nigdy niewypłatnym dłużnikiem.

Inwalidzi — to, obok Panteonu, kościoła Notre Dame i mogiły Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Tryumfalnym, najświętsze miejsce w Paryżu. Niechże więc w czci i wdzięczności dla inwalidów Polska nie da się ubiedz swej starszej Siostrze w duchu i kulturze, Francji.

Kalekie, nieraz zniekształcone, czy ośleple ciało Inwalidy — to powłoka, kryjąca swedenborgjańskiego, ognistego anioła... anioła ofiarnej miłości dla Polski... kryjąca najwyższe Piękno, bo Piękno moralne.

Wacław Wolski.



Żołnierska dola.

Zrodzona w burzy dziejowej zamęcie,
Wykołysana przez gromy huczące,
Porwałaś, dolo, w żelazne objęcie
Młodych żołnierzy setki i tysiące...
I szli za tobą wolą i niewolą
Jak za skinieniem czarownej królowny
Na śmierć grożącą lub triumf niepewny,
Żołnierska dolo!...

I szli za tobą wśród głodu i chłodu,
W obce szli ziemie na zmienne koleje,
Wierząc, że w tobie przyszłość jest narodu,
Że ty masz jeno moc ziszczuć nadzieje,
Że jeno przez cię z więzów kraj wyzwolą
Dłonie żołnierskie, co w pracy niemałej
Skrzepły potęgą i jak ty, stwardniały,
Żołnierska dolo!...

I byłaś dla nich droższa od macierzy,
Choć obarczałaś ich znojem boleści,
I choć tak szara, jak mundur żołnierzy,
Czar kryłaś w sobie i urok niewieści.
A dziś owiana sławy aureolą
Na straży kraju wlewasz w jego synów
Świadomość dobrze wypełnionych czynów
Żołnierska dolo!...

Przedtem zbrojnemi na się szliśmy hufy, —
Niechaj się lica wstydem nie szkarłatnią!...
Wróg nas przymuszał — karabinów lufy
Na głos komendy w pierś wymierzać bratnią...
Lecz żyła wiara, że się znów zespolą
Rozdarte niegdyś przez wroga dzielnice,
Że ty nam złączysz serca i prawice,
Żołnierska dolo!...

Dziś grzmiący oręż i strzały ogniste
Nie są jedynie wyrazem czczych marzeń,
Lecz dumnie świadczą — i jasno zaiste! —
O dokonaniu się olbrzymich zdarzeń...
Przeto nas dzisiaj rany już nie boją
I niewolnicze kajdany nie pieką,
Boś ty nam trumny odwaliła wieko,
Żołnierska doło!...

Józef Birkenmajer.

Syberja 1919.

Na drodze.

Na drodze — o losie łzawy!
Ran pełne, z których krew ciecze,
Wśród chwastów, głazów, kurzawy
Leżało serce człowiecze.

Czy rozsadziło pierś własną
Wezbranych uczuć nadmiarem?
Czy gasnąc, jak gwiazdy gasną,
W proch z wyżyn spadło Ikarem?

Czy je w rozpaczny noc ciemną
Dłoń luba rzuciła zdradnie?
I pytać oto daremno,
Bo dzieje serca któż zgadnie?

To tylko pewna, że ninie
Na dzikiej, pustej rubieży
W konania srogiej godzinie
Samotne i nędzne leży.

W tem — patrzcie! — gdzieś z krańca świata,
Bez cugli i bez wędzidła
Spieniony rumak nadlata,
Jakby u kopyt miał skrzydła.

Tak buja żrebiec w tabunie...
Moc żadna go nie ugłaska:

Gdy przepaść spotka — to runie;
Mur spotka — to łeb roztrzaska.

Lecz widok serca go chwytą;
Przebóg! Czyż mu się użali?
W powietrzu zwiesił kopyta
Przesadził serce — mknie dalej.

.
A potem, tą samą drogą
Z łbem starym, zwieszonym nisko,
Przylazło, noga za nogą,
Zgłodniałe, wychudłe psisko.

Ten nędzárz, taki sterany
Mógł głód nasycić bezkarnie...
A on? — On lizać jął rany,
By serca zmniejszyć męczarnie.

.
Aż nadszedł człowiek w tę stronę
Pędzony dążeń swych siłą:
Ten — kopnął serce skrwawione,
Bo mu się bardzo spieszyło.

Hajota.

Z nowych sonetów.

(Z drugiej serji).

Widzenie.

Ciemne, polskie okręty, w sine Bajki dale
Od Bałtu bursztynowych płynące wybrzeży,
W lśnieniu piany, co ciemne boki wasze śnieży,
Śni złoto gwiazd w tułaczym, syndbadowym szale!...

Tęsknot do polskiej Thule Lotiowie, Farrerzy,
Złoci od snów bajkowych, oparci niedbale
O ciemne linje burtów, w sine mgliste dale
Wpatrzeni, odsłanianii przez wiew Bałtu świeży!...

Polskich, morskich upojeń przestworze!... Potęgo,
Majająca w stuleci nadchodzących dali,
Co polskiego Pomorza śnisz się mglistym łęgom.

Pod gwiazdami!... Farrerzy, złoci od snów cali!..
Jak sen, baśń wasza złotem bursztynów się pali,
Czarownego marzenia rozżarzoną wstęgą!...

Wacław Wolski

Moja broń.

Choć ogniem tryska twa lufa,
Choć śmiertelne ciska kule, —
Moja dłoń cię pieści czule,
Oko me ci wiernie ufa.
Jesteś, broni, jak kochanka,
Jak jej piersi twoja stal..
Życie z tobą — to hulanka:
Baczność! gotuj broń! cel — pal!

Na tobiem, jak na wezglowiu,
Głowę znojną kładł w noc ciemną;
Tyś czuwała razem ze mną
Na placówkach w pogotowiu.
Na wylocie twoim wsparty,
Zastuchany w głuchą dal,
Odprawiłem czujne warty:
Baczność! gotuj broń! cel — pal!

W bitwach, niby przewodniczka,
Tyś mnie wiodła w kul zamiecie,
Jam piastował cię jak dziecię,
Przytulałem do policzka..
Niósł mnie rwących wir żywiołów,
Jak gromowy wichr wśród hal.
Gradem wkoło przyskał ołów:
Baczność! — gotuj broń! cel — pal!

Wola ma, jak ty, żelazna,
Słowa jej sakramentalne:
Raczej sobie sam w łeb palnę,
Nim mój oręż hańby zazna!
Krwia niewinną go nie zmażę,
Lecz nie chybię — ni na cal —
Kiedy w serce godzę wraz;
Baczność! gotuj broń! cel — pal!

A gdy kulka w czoło gwiźnie,
Krótki smutek... bo i cóżby?...
Lata mojej wiernej służby
Może wspomni ktoś w ojczyźnie...
A gdy cichą śmierć zdobędę,
Lat młodzieńczych mi nie żal —
Lecz niech slysze tę komendę:
Baczność! gotuj broń! cel — pal!

1919.

Józef Birkenmajer.

Inwalida.

Zamaszyście, dziarsko, srogo
Inwalida idzie drogą,
Stuku — puku, jakby z gniewna,
Postukując nogą z drewna.

Drogą twardą tego świata
Idzie, idzie całe lata, —
Zaszedł wreszcie, jak potrzeba,
Prościusieńko — aż do nieba.

U Piotrowej widzi bramy
Długi sznur (z biedoty samej),
Więc w ogonku, stuku — puku,
Staje sobie bez pomruku.

Wyrzy święty Piotr w okienko,
Woła: „Chodźże tu, rybienko!

Inwalida najrodzimej
Pierwszy tutaj — przed wszystkimi!“

Po niebieskim, stuku — puku,
Inwalida idzie bruku,
Stuku — puku, na posadzki
Djamentowe idzie gracki.

Rzędem z obu stron anieli
Stoją — każdy ślepkiem strzeli —
On nic, tylko się nasroży,
Grzmi z meldunkiem przed tron Boży.

Pan Bóg przyjął go łaskawie —
Grzechów tam nie badał prawie,
Lecz o Cudzie tym nad Wisłą
Kazał zdać relację ściłą.

I o księdza go Skorupkę
Pytał, jak tam zuchów kupkę
Z krzyżem wiódł, gdzie paszcza dzika, —
I jak prali bolszewika.

Potem w niebie mu przytułek
Dał i urząd wśród aniołów, —
Wikt z najlepszych Pańskich stołów,
Wina codzień pięć ampułek.

Na łaskawym bożym chlebie
Osiadł sobie tedy w niebie:
Szefem jest wojskowej szkoły,
I musztruje tam anioły.

Zawsze trzeźwy i stateczny —
Ale niech kto bolszewika
Wyraz wspomni, zaraz bryka,
Szał powstaje w nim waleczny.

Zarazby na ziemię czmychał
I wiódł z sobą całą szkołę, —
Że aż go Archanioł Michał,
Musi trzymać tam za poję!

Józef Jankowski.

Złoty róg.

(Ze „Starych Legend“)

A gdy Jaśka djabeł zmógł,
Przepadł ci mu złoty róg —
Gdzieś przez pola a wykroty,
Róg potoczył mu się złoty —
I czapeczka z pawich piór:
Ostał mu się jeno sznur.
A tu w izbie coś dokoła?
Jeno skrzypki brzmią Chochoła,
Jednostajnie ciągle brzmią —
A weselni goście śpią.
Reta! a toż wschodzi słońce:
Zbudźcież wy się, ludzie śpiące.
Może się zlituje Bóg
I znajdzie się złoty róg.
Miej, o Chryste, zmiłowanie:
Niechaj skończy się to spanie.
Lecz ich siła trzyma zła —
Chochoł gra — Chochoł gra!
Chyba jakie wielkie grzmoty —
Ich przebudzą z tej martwoty.
O, niech lepiej huknie grom!
I zabłyśło wnet i w dom
Piorun trzasnął jednej chwili —
Wtedy śpiący się zbudzili:
Dobrzy ludzie, bies mnie zmógł.
Przepadł ci mi złoty róg.
A toż się opamiętajcie:
W lasach, polach go szukajcie!
Gdy usłyszą Jaśka krzyk —
Spieszą: gdzie ten skarb co znikł?
Spiesz, biegnie tłum z wesela —
Radca, Hania, wójt, Rachela,

Panna młoda, młody pan —
Chochół gra na nowy tan!
Bies jął nowe robić sztuki,
Czy gdzie brzozy, czy gdzie buki —
Czy gdzie łąka czyli bór —
Porozsypał wszędzie dur —
I pośrodku każdej drogi
Wszędzie leżą złote rogi!
Tak ci djabeł ich obłąka:
Czy gdzie bór czyli gdzie łąka —
Wszędzie złoty róg — ten sam —
Każdy woła: Mam go — mam!
Każdy wraca z złotym rogiem:
Najprawdziwszy — klnę się Bogiem —
Patrzcie: złoto skrzy się — drga —
A jak gra — a jak gra!
Twój się w zgrzytach ostrych łamie —
Bo fałszywy jest — bo kłamie —
Mój prawdziwy — kłamie twój, —
Nie — wyzywam cię na bój.
Wyzywam cię na sąd boży:
Mój, jest bratem złotej zorzy —
Twój skowyczy wyciem suk —
Mój prawdziwy złoty róg.

A. Lange.

Gdzie Bóg!

Nad brzegiem rozszalałego morza stoi starzec siwowłosy
i z bezsilną rozpaczą złorzeczy spienionym falom.

Złorzeczenia jego, przechodzące chwilami w jakiś dziki
wprost ryk, podobny do ryku rozjuszzonego bawołu, zagłuszane są
przerazającym wyciem strasznej burzy...

Uderzające co chwila o wzburzoną powierzchnię morza pio-
runy, których echo głośno odbija się o niezmierzone przestworza
fal morskich, są jakby odpowiedzią na straszne, nieludzkie krzyki,

dobytujące się z pod zamierającego serca tego na wpół oszalonego z rozpaczny starca.

Huragan szaleje z piekielną wściekłością, a starzec stoi wciąż bezradny, bezsilny, podczas gdy dziecko jego jedyne, duma i podpora jego starości, nadzieja lepszej przyszłości, walczy ze śmiercią.

Starzec widzi, jak syn jego słabnie w tej nierównej śmiertelnej walce z wszechpotężnym żywiołem. Spostrzega zamglonym straszną rozpaczą wzrokiem, jak z coraz zmniejszającą się odpornością odbijają się uderzenia fal o kruchą łódkę, na której syn jego znajduje się sam jeden wśród niezmiernych fal oceanu.

Wtem jedno jeszcze uderzenie wścieklej fali, jeden jeszcze okrzyk starca, tym razem tak straszny, tak przerażająco dziki, że zdawało się, iż ziemia cała wstrząśnie się w posadach swoich, że rozhukane fale uspokoją się, zwyciężone tym potężnym głosem ludzkiej boleści...

Próżna nadzieja... nowa fala nadchodzi i z większą, wściekłą jeszcze mocą uderza o łódkę. Pograża ją w głębię wód morskich... po chwili wyrzuca ją na powierzchnię morza po to tylko, aby pograżywszy ją raz jeszcze w spienionych falach, pochłonąć ją tym razem ostatecznie w wiecznych ciemnościach niezgłębionych wód oceanu.

Czarny punkcik, od godziny miotany przez rozszalałe fale, znikł z powierzchni wciąż wzburzonego morza, a z nim... zginęło jedno młode życie...

Starzec, zwyciężony straszną boleścią, przestał złorzeczyć, przestał ciskać bezsilne klątwy. Popadł w stan zupełnego odrętwienia...

Naraz zerwał się, stanął nad samym brzegiem tego do niedawna jeszcze ukochanego morza, tej karmicielki swej, a dziś grobu ukochanego syna i, i rzuciwszy pełne grozy zapytanie:

— Gdzie Bóg?... — odszedł chwiejnym krokiem.

* * *

Szedł tak starzec długo. Może dzień cały, może dwa dni. Niezdawał sobie zupełnie racji ani z przebytej przestrzeni, ani z czasu. Spotykał po drodze jakichś ludzi, którzy z zaciekawieniem lub litością przypatrywali mu się, lecz on nie zwracał na nich uwagi. Szedł, jak idą senne widziadła, odruchowo; szedł

wciąż naprzód z tą jedyną tylko samowiedzą, aby znaleźć się jak najdalej od tego przekłętego miejsca, w którym po raz pierwszy w życiu stracił wiarę.

Szedł aby ją odnaleźć. Czy odnajdzie?

Idąc tak wciąż, dotarł wreszcie do wielkiego jakiegoś miasta. Wszedł do niego i, błakając się po wspaniałych, szerokich i pięknie oświetlonych ulicach, upadł wreszcie znużony i wycieńczony pod uginającym się od złota i marmurów, kościołem.

W mgnieniu oka około starca utworzyło się zbiegowisko ludzi. Jedni z drwinkami, drudzy z ironią, jeszcze inni z morałem pod adresem włóczęgów, próżniaków i pijaków opuszczali krużganek wspaniałego kościoła. A starzec z głodu omdlewając u stóp niemal Tego, który jest Rozdawcą chleba, cichym szeptem jęknął:

— Gdzie Bóg?...

*

*

*

Wielka sala. W głębi jej na podniesieniu za stołem, pokrytym zielonem suknem, siedzi pięciu pełnych powagi i surowości mężów. Na stole leżą stosy papierów, a wśród nich stoi krucyfiks.

Po lewej stronie sali blisko wielkiego stołu dwie ławki, otoczone barjerą — to ława oskarżonych, po prawej stronie mniejszy stół, przy którym siedzi oskarżyciel publiczny.

Na przeciw wielkiego stołu w przyzwoitem oddaleniu stoi kilka rzędów ławek, przeznaczonych dla publiczności, której w tej chwili znajduje się spora gromadka.

Woźni sądowi, adwokaci i urzędnicy wchodzą i wychodzą ze sali. Starszy woźny z powagą i przejęciem się ważnością spełnionej roli, wywołuje sprawy, mające być sądzone. W tej właśnie chwili donośnym głosem wywołuje on:

— Sprawa o świętokradztwo, oskarżony Jan Barczak. — Jednocześnie dwaj strażnicy wprowadzają na salę ślaniającego się starca siwowłosego.

Na sali wśród publiczności przebiega szmer oburzenia, pomieszanego z pewnem zdziwieniem. Słysząc szept: „taki stary, taki piękny starzec, takie szlachetne rysy... świętokradzca.“

Nie zdążyli jeszcze strażnicy wskazać starcowi miejsca na ławce oskarżonych, gdy ten z nadludzkim wysiłkiem rzuciwszy się

ku wielkiemu stołu, porwał stojący na nim krucyfiks i runął na ziemię ze strasznym, przeraźliwym krzykiem:

— Jest Bóg!...

Z ziemi podniesiono trupa. W kurczowo zaciśniętych rękach trzymał on krucyfiks a na twarzy tego **starca - zbrodniarza** rozlany był wyraz jakiegoś błogiego, niebiańskiego spokoju.

Starzec odnalazł wreszcie swoje dziecię i nic go już z niem nie rozłączy, ani wściekle fale rozhukanego morza, ani złość i przewrotność ludzka, ani sprawiedliwość karząca.

Starzec odnalazł wiarę! Więcej już nie rzuci on z zaciśniętych beznadziejnym bólem ust, złowieszczonego pytania: „Gdzie Bóg?“, bo bliżej jest tego, który w nieskończonem miłosierdziu swoim przebaczył nawet oprawcom swoim.

St. Cieszkowski.

Bajka.

Życzyła Chmura Słońcu pogody radosnej...

Rzekło Słońce: „Pogoda będzie — gdy ty zgинiesz“.

Życzyła Zima Ziemi uśmiechniętej wiosny...

Rzekła Ziemia: „Nadejdzie wiosna — gdy ty miniesz“.

Życzył Wicher Ogrodom ciszy niezmaconej.

Rzekł Ogród: „Będzie cisza — gdy ty dąć przestaniesz“.

Życzyła Noc Niebiosom jutrzeńki wyśnionej...

Rzekło Niebo: „Świt będzie — gdy światłem się staniesz“.

Juljan Ejsmond.



Naród jest tem właśnie, co w zbiorowiskach ludzkich na globe jest najbardziej istotnego, najściślej prawdziwego. Uczucie uwielbienia dla swego narodu jest niepojęte a niespożyte, tak samo, jak uczucie miłości dzieci dla rodziców i rodziców dla dzieci. Podobnie, jak w nas żyje nasz ojciec, dziad i pradziad, tak samo w narodzie żyje i trwa jego przeszłość, prążą się siły, czyny, żądze i ideje naddziadów, wiecześnie z martwych powstające. Podobnie, jak drży serce wobec grobu rodziców, drży serce wobec niezgłębionej przeszłości narodu.

Stefan Żeromski

Znajomość przeszłości narodu często staje się światłem, które ukazuje nam we właściwych barwach teraźniejszość i rzuca blask na drogi przyszłości.

Artur Śliwiński.

Dzień dzisiejszy.

Z wiekowych mroków i cieni wystąpił naród w światło i jaśnie, zasiadł wraz z innymi, niezawisły i pełnoprawny do godów życia wolnego. Lecz sążeż jego szaty godowe? co w ciemnem ustroniu uchodziło, czy nie razi w słonecznych promieniach?

Bo oto państwowość, zdobytą raz w układach dyplomatycznych, należy co raz zdobywać, potwierdzać czynem, poświęceniem.

Zadania, o które nas dawniej i głowa niezabolą, bo inni, obcy, nas nie pytając, sami je załatwiali, wymagają dziś od nas rozstrzygnięcia, nieustannie, bez odwołki czy wymówki.

A na to nie wystarczy zamiarów czy pomysłów, woli dobrej czy teorii pięknej; nie zastąpić nam niemi działań praktyki. Te zaś domagają się doświadczenia, sprawności, a do tych przyspo-

sabia nas **nauka**, przybierająca dziś u nas znaczenie podwójne: uczyć się trzeba, aby móc pracować rzadnie a skutecznie, bo jak sobie pościelemy, tak się wyśpimy! Uczyć się trzeba; dziś więcej niż kiedykolwiek dawniej.

Aleksander Brückner

Naród polski zajmuje terytorjum bardzo trudne do obrony, dzieje postawiły go wobec karnych i silnych sąsiadów; potrafi on przeto tylko wówczas zachować swą samodzielność i zbudować potężne państwo, jeśli będzie posiadał silną organizację państwową, jeśli będzie miał zasobny skarb, uregulowane stosunki gospodarcze, dobre wojsko, oraz gdy Polacy będą zdolni do ofiar i do wysiłków na rzecz Ojczyzny.

Stanisław Kozicki.

Posel na Sejm.

Solidarność.

Najgłębsze określenie człowieka dał filozof grecki, zowiąc go „zoon politikon”, to znaczy stworzeniem gromadzkim. Właściwie cała wyższość człowieka nad innemi stworzeniami jest dziełem społecznem. Jednostka istnieje dla społeczeństwa. Mowa człowieka, jego rozum, jego uczucia, jego zwyczaje, jego moralność — wszystko to są dary duszy społecznej.

Dusza człowieka jest tylko w części jego własnością; nie obojętną jest to rzeczą, jaki z duszy robi użytek. Każdy ma w niej swoją część i ma prawo do użytku z niej.

Braterstwo i wspólność interesów są losem ludzkim przyrodzonym. Nikt od wspólnoty życia, zadzierżgniętej w głębiach duszy, nie uwolni się. I nikt mądry tego nie chce, bo ta gromadzkosc jest dobrodziejstwem. Pozostaje raczej myśleć, jakby najlepiej ją wykorzystać dla dobra swego i innych. Boć to to czysta korzyść: każdy dla wszystkich, ale za to wszyscy dla jednego.

Na tym gruncie społecznego interesu wyrasta szlachetna cnota nieprzymuszanej solidarności.

Niedawno jeszcze powtarzano za przyrodnikami, że w stosunkach między ludźmi, tak jak w przyrodzie, zasadą życia jest walka o byt. Pokazało się jednak, że nie należy zbyt uproszczać (wulgaryzować) sobie pojęć. W przyrodzie naogół istnieje ślepe tarcie sił aż do przewagi siły większej; ale wśród ludzi przybywa nowa siła, której reszta przyrody nie zna, mianowicie świadomość. Ona rozumem rządzi, sama kieruje działaniem sił ludzkich, aby zmierzały do wspólnego celu. U ludzi zasadą jest nie walka, lecz **współdziałanie**. Współdziałanie oparte jest właśnie na tej solidarności.

Solidarność nie jest wcale ciężarem, bo jej pomaga naturalna sympatja, jaką ma człowiek do całego otoczenia, tembardziej do innych ludzi. Jakże łatwą jest solidarność w rodzinie! Tam wszyscy na wyścigi sobie służą i stają murem w obronie i odpowiedzialności wzajemnej. Cóż łatwiejszego i słodsze, jak ponieść życie w ofierze za ojca lub matkę? U zwierząt nawet istnieje taka solidarność rodzinna, szczególnie ze strony matek.

W dobrem, historycznie starem społeczeństwie dzieje się to samo, co w rodzinie. Tutaj już nie tylko skutek prawa krwi, ale z rozumu, ze szczytnej idei wszyscy są solidarni. Na tej cnotcie, stojącej się obowiązkiem, a nawet zwykłym nałogiem, oparty jest byt narodu.

W ten sposób prosty, naturalny, jednostka prawidłowa, zdrowa, mająca — jak to mówią — Boga w sercu, czysta, ludzi miłująca, rycerska wchodzi przez samo dobre wykształcenie swoich darów — na poziom człowieka społecznego i staje się obywatelem.

Wszystkie te cnoty znajdują tutaj właśnie zastosowanie, czyniąc z człowieka istotę, żyjącą w pełni praw i obowiązków, odpowiedzialną nie tylko za siebie, ale i za wszystko, co się w obrębie jego wpływów dzieje. Szlachetny młody Polak staje się istotnie szlachcicem w społeczeństwie w tem znaczeniu nowożytnem. Daje ton innym w obowiązkach, solidarności, karności, lojalności i uczynności.

Wszystkie te przymioty wypływają z solidarności; tak ją pojmować musi człowiek honorowy i rycerski. Daje on bowiem tę siłę, której społeczeństwu do bytu i rozwoju potrzeba, nie

pod przymusem, ale z własnej woli, jako człowiek, którego stać moralnie na spełnienie obowiązku.

Warszawa.

Zygmunt Wasilewski.

Historja umysłowości polskiej zna różne święte walki ideowe. W wieku XV — kłócili się humaniści ze scholastykami, w wieku XVI — katolicy z protestantami, w wieku XVIII — „sarmaci“ z reformatorami, w wieku XIX — klasycy z romantykami, a później pozytywści ze zwolennikami przebrzmiałych haseł romantyzmu. Dzisiaj toczy się walka o wiele świętsza — jeśli ją przegramy, położmy krzyżyk na naszym duchu narodowym: albowiem dzisiaj toczy się walka o to, czy myśl polska, czy literatura polska, czy dusza polska ma pozostać polską, czy się ma stać żydowsko-polską. Nigdy jeszcze najazd międzynarodówki i żydostwa na krainę ducha polskiego nie był tak tłumny i tak zorganizowany. Ocalić duszę polską przed tym najazdem, dochować wiary swojej polskiej krwi i chrześcijańskiej, zachodniej cywilizacji, która nas wychowała, — oto nasze najważniejsze dzisiaj zadanie i najświętszy obowiązek.

Ignacy Chrzanowski.

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Ugwara polskich rzek.

*Czcigodnemu Romanowi Dmowskiemu
poświęcam.*

Hej, szara Wiśła — macierz szumem fal ugwarza:
Miała Polska na tronie przed wieki mocarza,
Potężnego dziewierza duńskiego Kanuta,
Bolesława Chrobrego!...

Płynie szumu nuta,
Jak to Bolko utwierdzał moc polską, jak słowian
Garnął pod swoje skrzydła, jak, przecuciem owian,
Wzmacniać chciwych przegubów Niemcowi-gadowi
Nie zwolił!...

Szumi Wisły — macierzy płacz wdowi,
Niby polskiej niewiasty, co w żalu łązy leje,
Że się nie potoczyły naszej Polski dzieje
W kierunku, jaki nadał im Chrobry!...

Lecz Warta,
W woli polskiej potęgi piastowsko uparta,
Zaszumiła macierzy z otuchą, jak bacy:
— Cichaj, matko!... Już rodzą się **nowi Polacy!...**

Wacław Wolski.



Garść Aforyzmów

Macieja Wierzbńskiego.

Kobieta—Miłość.

Kobieta może być inteligentną, powinna być ładną a musi być dobrą.

Kobieta nie chce miłości, lecz tylko jej pozorów, podanych na porcelanie i przyprawionych sosem pikantnym.

W szesnastej wiośnie kobieta pragnie i wierzy, w 26-tej pragnie i wierzy, w 46-tej tylko pragnie.

Panna, o czembądź myśląc, myśli o małżeństwie, jeżeli nie o miłości.

Serce to za wiele ciężka rzecz, by mogła je unieść kobieta.

W dwudziestej wiośnie mężczyzna pragnie kochać, w 30-tej pragnie kochać i być kochanym, w 50-tej być kochanym.

Flirt jest najprzyjemniejszą formą inteligencji a miłość najprzyjemniejszą formą głupoty ludzkiej.

Flirt to przejaw pragnień miłosnych czy też miłości zamrozonej w zdrowym rozsądku czy też cień jej zrodzony z anemicznego serca. Jest to tęczyowa, kameleonowa gra światłocieni uczuciowych, jest to wyzwanie i wyznanie, jest podjazd i egzamin, jest zakąska i deser, jest to targowanie się kramarskie i blaga artystyczna.

Flirt to jest gra, w której kiery nie są atutami.

Słynna przebiegłość dyplomatyczna kobiety, w gruncie rzeczy nie sięgająca dalej jak do końca nosa, byłaby wobec mężczyzny bezsilną i jak szkło przejrzystą, gdyby kobieta nie miała potężnego sprzymierzeńca w zaślepieniu mężczyzny, który jest jak głuszec.

Niemiec widzi miłość pod kątem naukowo-sentymentalnym, Francuz pod kątem pikantno-artystycznym, Rosjanin pod kątem morbidno-zmysłowym, Anglik moralno-fizjologicznym, Włoch romantyczno-lubieżnym, Polak pod kątem rubaszno-erotycznym.

Szczęście — Życie.

Oszukiwanie samego siebie jest przyrodzoną potrzebą psychiczną człowieka — jest koniecznością, bez którego życie byłoby nie do zniesienia. Gdy wchodzi w grę miłość, niejeden zwłaszcza mężczyzna uduchowiony, zdolen jest nie widzieć tego, co widzi, i nie słyszeć tego, co słyszy.

Najokropniejszą rzeczą jest prawda. Tylko bardzo potężne sztaby zapuszczają się ku jej niebotycznym szczytom.

Chcesz kogoś obrazić jak najdotkliwiej, zranić pod serce — powiedz mu prawdę.

Rzeczywistość jest zerem, przed którym każdy stawia dowolne cyfry i świat sięga tak daleko, jak widzimy i jest takim, jakim go widzimy.

Wszystko w życiu jest wypadkiem i człowiek sam jest wypadkiem.

Kto powiedział, że „każdy jest kowalem swego szczęścia“ — ten miał głowę kowala.

Szczęście ma tylko jedno mieszkanie: w sercu.

Zwykle szczęście ludzkie to poprostu dobra cyrkulacja krwi.

Zawsze staram się być zadowolonym — to filozofja życiowa. Jeśli mi się nie udaje — udaję zadowolonego — to dyplomacja życiowa.

W polityce o istotnej wartości osobnika wydaje sąd w najwyższej instancji — jego charakter, w dziedzinie sztuki — dusza.

W 20-tym roku życia wielbimy piękność i powodzenie, w 30-tym złoto i rozum, w 50-tym charakter i dobroć.

Człowiek uczy się całe życie — żyć a powinien uczyć się pięknie umierać.

Najwyższem, literalnie najwyższem szczęściem jest zrozumieć wszystkimi tkankami istoty, że najwyższem szczęściem jest — śmierć.

Życie i świat są nijakie — ani dobre, ani złe, ani radosne, ani bolesne, ani mają wartość, ani jej nie mają. Wszystko stwarza człowiek. Bądź w sobie szary i chory — a całe życie będzie ci chore i szare. Huknij wesoło, a cały świat echem ci się radosnem obwoła.

St. Pieńkowski.

Silna wola jest podstawą bytu. Bez niej zamiera w nas duch. Stajemy się podobni do przedmiotów, któremi rządzi — wiatr.

Jeżeli chcesz mieć przyjaciół, nie udawaj się do nich w potrzebie; bądź z nimi najlepiej wówczas, gdy są ci najmniej potrzebni.

Zmysły — to przekleństwo dla człowieka pozbawionego poezji.

Samotność jest dziesiątą muzą.

Mieczysław Guranowski.

Prawda jest jedna, lecz wiele dróg do niej prowadzi. Nie
potępiaj pośpiesznie tych, co nie twoją drogą ku niej kroczą.

Bronisław Gembarzewski.

Najwyższym rodzajem kultury duchowej człowieka jest —
kultura uczuć.

Anielską twoja dusza być musi, inaczej — będzie zwierzęcą.

Szczęście człowieka podobne jest cieniowi: gdy uciekasz —
goni, gdy gonisz — ucieka.

Henryk Galle.



*

*

*

...Wyobraźnia wyrobiona ciemnością biegunowych zim przedstawiała mi wyraźnie z łatwością całą kulę ziemską — srebrzystą u biegunów, pozłocisto-zieloną w pół ciała, oblaną błękitnemi morzami, pocentkowaną żółtymi plamami pustyni, porysowaną szaremi żyłami górskich łańcuchów, owiniętą płachtami dni, zór i nocy płynących za sobą niezmiennie... Wśród jej obszarów pełno było zakątków prześlicznych, krajów rajskich, lecz dla mnie, czułem to dobrze, dla pełni uczuć moich, dla tego hymnu życia, który każda dusza dąży wyśpiewać doszczętnie, istniał tylko punkt jeden na całym tym globie...

„Brzask“

Wacław Sieroszewski.

W podróżach przez kraje nieznane człowiek najgłębiej poznaje piękno natury, siłę ducha ludzkiego, celowość życia i — Boga.

Antoni Ossendowski.

Przez cały wiek niewoli narodu, literatura polska zajęta była, w swych najświetniejszych utworach, jedną główną troską: **odbudową Ojczyzny**. Teraz, gdy w odrodzonej Polsce nastąpi pełnia życia narodowego, literatura odzyska swój żywot samodzielny, t. j. troszczyć się będzie o **czyste Piękno**.

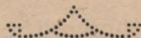
Jan Lorentowicz.



Misja Wielkopolski.

Wielkopolska zrodziła Polskę, broniła ją od rozstroju i zawichrzeń wewnętrznych, od najazdów i podbojów zewnętrznych, walczyła o jej niepodległość mężnie, wytrwale i wiernie, nie uczestniczyła w zdradach i rozbiorach. Teraz gdy Polska zmartwychwstała i żyć musi pod ciągłą groźbą niebezpiecznego sąsiada; gdy w niej nie może dotąd ustalić się praworządny ład, Wielkopolska winna znowu przyjąć na siebie posłannictwo bronięcia ojczyzny z zewnątrz i umocnienia jej wewnątrz. Na nią też zwracają się coraz częściej oczy narodu, zaniepokojonego o swój byt państwowy i zmęczonego zamętem.

Aleksander Świętochowski.



Mistrzowi - Jubilatowi Stanisławowi Masłowskiemu.

(W 50-lecie Jego działalności artystycznej).

Tęsknota, stępy, polskość, barw słonecznych pycha
Białego muru w różach, w cudnej Taorminie,
Czy w różanych mgłach świtu ciemne, zwiewne linje
Szarej łodzi na stawie, co czarem oddycha.

„Balladyny“... poezja, co wprost rzeką płynie
Z takiej chaty w księżycu, co śni, Bajką cicha...
Purpury łun zachodu czarowna ognicha
W „Mickiewiczu z Marylą“... sny polsko - böcklinie!...

Senna zwiewność, japońskość cudnych akwareli...
Snów piastowo-bartniczych brzęk cichuchny, pszczeli...
Wyczucie Prapolskości, co gdzieś na dnie drzemie

W duszach naszych, w przyrodzie, niby klechda stara...
Z tych czarodziejstw na całą polską słyniesz ziemię,
W nich, Mistrzu, lśni nam cudnie Twa Artysty wiara!...

Wacław Wolski.



Dusze na Odlocie.

Z niedawnych wspomnień.

Bądźcie mi zdrowe, pola, łąki, lasy,
Dworze ty stary ojców mych i dziadów!...
Łyskę przytroczyć luzem do kolasy,
A te dwa kufry wieźć do sąsiadów.
W drogę!... Czy ujrzą kiedy oczy moje
Te kąty, w które wzrosłem duszą całą?
Do kroćset! Przecież śmierci się nie boję,
Lecz chciałbym umrzeć — jak człeku przystało.

Nie pies ja — żeby skonać gdzieś pod płotem
Skopany, skłóty, z roztrzaskaną głową....
Spalą i zniszczą wszystko tu.... Wiem o tem!
Wiem, że nie dźwignie tego nikt na nowo...
W drogę!... A ciągle sam jak wryty stoję
Z mgłą przed oczyma. Jeszcze chwilę małą!
Zostać? I poco? — Śmierci się nie boję,
Tylko niech skonam, jak człeku przystało.

W bawialni stoją spłowiałe mahonie,
Nad niemi stare po ścianach portrety:
Tam babcia — świętszej nie znałem kobiety —
Brała mą głowę w drżące swoje dłonie!...
Lamus! Tam ojca w sześćdziesiątym trzecim
Kozacy skłóli... Dziećmi my z tej góry
Bywało gościom na spotkanie lecim...
Nie miał nikt takiej jak stryj Wacio czwórki!

W okna się wpiłem. Wszystko jak przed laty!
Ten ganek!... Nogi ciążą mi ołowiem.

Gdy mnie pytają kiedyś antenaty:
Co ja z ich gniazdem zrobił? — Cóż odpowiem?
Ach, oni serce będą widzieć moje
I wiedzieć, co się w niem, ot, teraz działo,
I wiedzieć, że się śmierci ja nie boję...
Nie ja tak chciałem. Przeznaczenie chciało.

Ty — rzekło, łamiąc tradycję pokoleń —
Nie zamkniesz oczu tam, gdzieś je otworzył!
Boże! W przecudnej godzinie wyzwoleń
Czemuś nad krajem tym tak się rozsrożył?
Dzień za dniem pędzi, wróżąc wciąż — na dwoje
Co będzie?... Coś się jakby rozetkało
W pustce sal... Drgnąłem? Czego ja się boję?
Padniem? No, to i co! Byleby z chwałą.

Byliśmy! Koniec. Słysząc trąbek granie.
Łuny nad lasem. Skądś padł strzał armatni.
Dwór jak wymarły. Leciuchno w altanie
Buja się hamak... Jeszcze raz ostatni:
Bądź zdrow, mój stary! Moje to — i twoje.
Ratuj co zdołasz, byleś uszedł cało.
Po koniach, Juziuk! — Śmierci się nie boję
Byleby umrzeć jak człeku przystało!

Wilno

Czesław Jankowski.

St. Laudyn-Chrzanowska.

Ci – co odeszli, a Ci – co żyją.

Wiosna idzie... Rozkwitną wkrótce łąki, rozplomieni się słońce tysiącami blasków, tęcz, iskier. W powietrzu zadrgają aromaty pól, kwiecieja odurzające, upoięń pełne. Przemówi ziemia w całej potędze istnienia swego. I pójdą wiania żywe, ciepłe, radosne od dusz żywych — tu bojujących o dobra swe, szczęście i od dusz tych dalekich już, odeszłych, zdmuchniętych tak okrutnie za cenę życia naszego, bezpieczeństwa, zdrowia, wolności.

Błogosławieni — odeszli, cicho, ofiarnie, w rozkwicie sił, z pragnieniem szczęścia, nadziei, tęsknot i upoięń w oczach. Odeszli — gdy życie im się śmiało, wołało ku sobie, obiecywało kruże pełne użycia, rozkoszy, czaru. Gdy wyciągały się ku nim ramiona ukochane, śmiały się oczy przepiękne, krasniały purpurą usta gorące, a życie rozkładało się, u stóp, jak kwietna, zaczarowana, widziadeł, zjaw, obrazów cudnych pełna kraina. Odeszli. Ofiara krwawa, całopalna, jak wieki długa — wciąż idzie.

Gdzie oni? Czy myśl ich jest mocna biedz kiedy na nasze ciemne ugory? Czy może wolno im, wraz z wiosną, z powodzią promieni, tęcz, zórz zejść ku nam, na nasze łąny, pola, doliny, zraszane wciąż łzami matek, żon, kochanek, co oplakują odejście ich na tych mogiłach bez liku i bez nazwy, któremi się pokryła nasza Ziemia Krzyżów. Czy myśl ich o nas paląca, tęskna nie idzie ku nam czasem w mnogości tych purpurowych maków polnych, rozchwianych pod ciepłą wiosenną pieszczotą gór naszych, wąwozów, dolin? Nie wskrzesi ich nic — ani rozpacz, łzy zaklęcia. Stają już w ordynku przed tronem Pana, który ich policzy przed ołtarzami wieczności. Modli się do nich ludzkość korna, pochylona przed pomnikami nieznanych swych żołnierzy. Hołd i cześć!

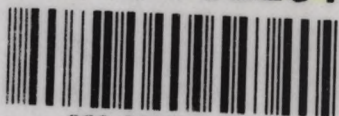
Zapominać jednak nie trzeba, że tuż obok — u tych grobów czczonych — stoją szeregi inne, ciche, bezsłowne, męką przeżyć wspólnych z tamtymi znaczone. To są ich dziedzice, spadkobiercy uprawnieni zasług, trudów, walk, towarzysze mocowań się śmiertelnych z wrogiem, porywów bohaterskich za wolność, Ojczyznę — krwią ich, ranami odbudowaną. Mamy ich ze sobą, przy sobie, obecnych i żywych.

Inwalidzi wojenni — to więź droga, organiczna prawie między tymi, co odeszli i nami, cośmy z dziedzictwem po nich, tak hojnym, królewskim stoimy. Niechże cześć i miłowanie narodu ku nim idzie, niech otoczy ich wieńcem uczuć serdecznych, pamięci, wdzięczności, rozkwitających w dary tak cenne i radośne, jak te, którymi oni kraj nasz i ciemne dotąd losy narodu obdarzyli. Niech oplotą ich życie uczucia nasze mocne, troska czujna, wierna, idąca zmienną losów koleją za każdym ich poczynaniem, pracą, jako pomoc i oparcie serdeczne, miłujące, bratnie. To obowiązek nas żywych, powinność tkliwa, wzruszona, a radosna. Dłużnikami jesteśmy, a oni — Bojownicy Narodu, Ojczyzny, nie w stanie są wyczerpać aż po koniec dni swoich wielkiego kapitału ofiar i dóbr dla szczęścia i przyszłości pokoleń złożonych. Hołd i cześć!



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 322515



000-322515-00-0

Nakładem:

Zarządu Powiatowego Koła Związku Inwalidów
Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej
w Tczewie

—

Za komitet redakcyjny:
Wł. Barczyński, Tczew.
Telefon 171.